

# MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego  
 „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach  
 Nauczycielskich w Białymstoku

Cena prenumeraty: Rocznie 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. 20 gr.  
 Cena numeru w miejscu 40 gr., z przesyłką 50 gr.

## TREŚĆ NUMERU:

1. Od Administracji
2. Na marginesie „Ody do  młodości” . . . . . I. Leśna.
3. Aluzje . . . . . P. Fed.
4. Hejnał z wieży Marjackiej . . . . . R-wicz.
5. Obecny stan lokalizacyjny szkolnictwa powszechnego. . . . . E. Sałata.
6. O rzekomej prawdomówności czyli o tem, że w organizacjach uczniowskich pracować nie warto, słów kilka (nadesłane) . . . . . „Bej”
7. U stóp Giewontu . . . . . J. Horodeński.
8. Wrażenia ze Złotu w Pieskach . . . . . J. Kolyńska.
9. W górach . . . . . Włóczęga
10. Barszcz w Siemkach . . . . . R-wicz.
11. „Hej, wakacje już minęły” wiersz . . . . . G. Skrzędziejewska.
12. „Lecą liście” wiersz . . . . . „ ”
13. „Noc letnia” wiersz . . . . . „ ”
14. Wypożyczalnia podręcznik, przy „U. S. S. Br. P.” Łosiówna.
15. Nasze życie (kartka z mojego pamiętnika) . . . . . O. J. P.
16. „Jesień” wiersz . . . . . „Wicha”.
17. (I tak i tak)—tak, albo nie tak . . . . . (P. F.—Kullego).
18. Ze świata wydawnictw.
19. Odpowiedzi Redakcji.

Adres Redakcji i Administracji:

„Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku, № tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: **W. Konopkówna.**

Redaktor: **E. Sałata.**

Wiceredaktor: **J. Polówna.**

# MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku

## *Od Administracji!*

*Upraszamy Sz. Prenumeratorów o niezwłoczne wznowienie prenumeraty naszego pisma.*

## **Na marginesie „Ody do [REDAKTOR] MŁODOŚCI”**

Różni ludzie różne mają myśli, zdania i cele. Pod tym względem różnorodność jest tak wielka, że trudno jest poklasyfikować ludzi na grupy jednakowe pod względem zapatrywań i dążeń.

— Mickiewicz rozłamuje ludzkość tylko na dwie potężne gromady, rozdzielone nieubłagany wiekiem, na dwa światy — młody i stary.

— Świat stary tworzą ludzie wiekiem przygarbieni, ci którym troska poorala czoła i pot oczy zalewa tak, że oczy te tępe są i choć patrzą, nie widzą.

Nie widzą tych jasnych horyzontów młodzieńczych, umalowanych często jutrenką wyobraźni i pięknych nadziei, bo łuk zatoczony starczymi oczyma sięga tylko dotąd, dokąd sięgają codzienne troski i potrzeby, codzienna praca i trud. Mickiewicz nie chce robić w tym świecie przewrotu i pozwala mu nie widzieć tego i nie czuć, co młody świat widzi i czuje, bo rozumie, że podwaliną do istnienia młodego świata potrzebną jest właśnie ten świat stary; domyśla się także, że to tysiączne zawody, tysiączne wyczerpujące siły próby znieczuliły chęć czynu jednostek składowych starego świata i nie zostawiły im nic prócz pracy jednostajnej, żmudnej, pozbawionej blasków, porywów i nadziei.

Natomiast silnym rozkazem powołuje Mickiewicz do do czynu młodość.

Jej nie wolno nie ogarnąć bystrem okiem całej ludzkości, nie wolno zasklepić się w ciasnym światku wyłącz- nie swoim, nie wolno wątpić w swoją potęgę i zniechęcać się niepowodzeniami.

Dusze młodych powinny mieć siłę większą niż rozum, siłę, którą jest miłość i przyjaźń, a dzięki tej potędze wszystko zbadać, wszystko ujrzyć i zrozumieć, a co najważniejsze — wszystko zdziałać mogą.

Przyjaźń wiąże poszczególne, choć miłujące i czynne jednak nic nie znaczące w stosunku do podjętego dzieła jednostki w silny łańcuch, którym młodzi świat opasać mogą i pchnąć go na dobre tory. A choć niejedna gromada młodych nie osiągnie swego celu, jednak z pod jej ruin nowi pracownicy wygrzebią te wielkie idee i zażrzewani przykładem poprzedników poprowadzą dalej rozpoczęte dzieło. Więc ci, co zostali przywaleni ogromem obowiązku także szczęśliwi, bo najtrudniejszą część pracy zrobili dając jej fundamenty ze swoich serc gorących i rozpalonych zapalem mózgow.

Dwa te światy zawsze pałają ku sobie cichą niechęcią, lecz nie zwalczają się nigdy nawzajem, bo młody rozumie i szanuje trud starców, a stary, kto wie, może gdzieś w głębi duszy starannie chowa płomyk nadziei i wiary w przyszłość, którą młodzi zbudują.

*Izabella Leśna.*

## Aluzje.

Znałem 4-ch kolegów godnych zwrócenia uwagi ze względu na ich duchowe typy.

Jeden z nich, zamknięty w skorupie konserwatyzmu (w zn-stałej wartości), nie usiłował w niej wybić otworu i opuścić siedlisko—nie lubił i nie robił najmniejszych wysiłków...

Inny był synem zamożnego ziemianina; chodził do gimnazjum, gdzie był tego rodzaju uczniem, który nie ma najmniejszego przywiązania do nauki: był więc znanym hybernantem (t. j. tym, który zimuje), którego strona moralna ustawicznie zsuwała się w przepaść bezwartości...

Trzeci z nich zdolny, lecz niepracowity, przeciągał się z klasy do klasy i pracował, aby iść i kuleć — małej wartości istota.

Czwarty był nie tylko całkowitem zaprzeczeniem tych trzech, lecz swoją wartością tak dalece ich przewyższał, że wytwarzał całe niebo różnicy pomiędzy sobą a nimi. Był jak oni, lecz inny od nich tem, że wszystko to robił, w czem widział idee pozytywnej wartości.

Tak.

— I my będziemy zapadłymi głazami, przestraszonymi raki, albo kalekami na drodze postępu i będziemy tylko funkcją konieczności o egoistycznych niepromieniujących skutkach, jeśli nie będziemy wiedzieli, że w geniuszu jednostki potęga i nie uwierzmy, że każdy z nas więzi ten geniusz, który może uwolnić przez pracę i zamilowanie a wiarę w żądany skutek upartego wysiłku.

Naszą alfa i omega żyć poto, by pracować i uprawiać się w tym celu, by być w przyszłości procentuarami pożytku społecznego i by być rewolucjonistami progresu.

Nam nie wolno nie wiedzieć, że my możemy, i że powinniśmy być tyranami własnego losu i złej strony swej ludzkiej natury.

Bądźmy zawsze świadomi tego, że kto nie postępuje, ten się cofa; że każdy upadek moralny jest do poddaństwa krokiem i niewoli.

Pamiętajmy, że szybko z życia w wieczności wpadamy toń, że do starości zmierzamy i kresu.

*(P. Fed. k. IV)*

## Hejnał z wieży Marjackiej.

Niejednen z nas słyszał z pewnością, czy to przez radio, czy też bezpośrednio, będąc w Krakowie, głos trąbki z wieży Marjackiej, lecz nie każdy może zastanowił się, co on właściwie znaczy, skąd się wziął podobny zwyczaj i jaki ma w tem cel? Bo my, ludzie, przechodzimy nieraz obok wielu ciekawych i pożytecznych rzeczy nie zwracając na nie wcale uwagi. Nie od rzeczy więc będzie wyjaśnić tajemniczy głos trąbki strażnika z wieży Marjackiej.

Hejnał Marjacki ma bogatą i chlubną przeszłość, sięgającą wieku XIV. Już w roku 1392 wieża Marjacka nie należała do kościoła, ale była strażnicą miejską, w której dniem i nocą czuwał strażnik. Głos jego trąbki ostrzegał mieszkańców miasta przed niebezpieczeństwem, grożącym

czy to ze strony nadciągającego wroga, czy też pożaru, lub innego nieszczęścia.

Nietylko głos trwogi rozlegał się z wieży Marjackiej, płynęły też stamtąd na cztery strony świata dźwięki radości i wesela, podczas wielkich uroczystości narodowych, jak Koronacje Królów, lub w chwilach wiekopomnych zwycięstw nad wrogami Ojczyzny...

Mijały lata, wieki całe, a głos trąbki rozbrzmiewał ciągle potężnym echem nad miastem.

W końcu wieku XVIII umilkła trąbka i odezwała się znowu aż w roku 1810 za inicjatywą ówczesnego wiceprezydenta miasta Krakowa. Od tego to właśnie czasu Hejnał Marjacki rozlega się do dziś dnia.

Obecnie hejnał ma ustaloną formę i jest trąbiony co godzinę w cztery strony świata, do radja transmitowany jest dwa razy na dobę, o godz. 12 i 24.

Na wysokości 54 metrów nad miastem znajduje się izdebka strażnika, zaopatrzona we wszelkie nowoczesne urządzenia, jak telefon, elektryczność, zbiorniki z wodą i żywność.

Dzisiejszy strażnik, obok wygrywania hejnału, który ma dzisiaj znaczenie tylko pamiątkowe, ma za zadanie, podobnie jak niegdyś, dawać znać zapomocą telefony, lub specjalnej aparatury sygnałowej o zauważonym na mieście pożarze. Przez sześć godzin z rzędu musi czuwać bacznie nad miastem, ponieważ za przegapienie pożaru jest surowo odpowiedzialny.

To też służbę na wieży uważają strażacy nie tylko za odpowiedzialną, ale i zaszczytną.

*R—wicz IV.*

## Obecny stan lokalizacyjny szkolnictwa powszechnego

Przeżywamy dziś kryzys w dziedzinie lokalizacji szkolnictwa powszechnego, kryzys bardzo ciężki, otwierający smutne na bliską przyszłość perspektywy, zagrażające niemal podważeniu podstaw bytu państwowego — jeżeli nie zostanie usunięty.

Pisze się o tem od czasu do czasu, odzywają się niekiedy głosy, zwracające na taki stan rzeczy uwagę z wołaniem o jego poprawę, ale ogół nie zdaje sobie z tego sprawy, nie uświadamia zła, które może spowodować załamanie się polskiego szkolnictwa.

Przyjrzyjmy się tej sytuacji w świetle faktów, korzystając z wydanej niedawno książki H. Machałowskiego p. t. „O jutro szkoły polskiej”.

Z dniem 7.II 1919 r. dekretem Naczelnego Wodza zostało wprowadzone powszechne w Polsce szkolnictwo.

Ilość dzieci, objętych nauczaniem początkowym (uczęszczających do szkół powszechnych, preparand naucz. i gimnazjum niższego) wynosiła w r. 1922/23 3.345.304, w roku 1928/29 3.575.557 — a więc wzrost dość nieznaczny. Praca twórcza nad realizacją powszechnego nauczania w okresie od r. 1921 do 1929 polegała głównie na organizowaniu szkół typów wyższych zwłaszcza szkoły powszechnej 7 klasowej. Otóż, o ile w miastach postulat siedmioletniego nauczania został prawie w zupełności osiągnięty, gdyż do szkół siedmioklasowych uczęszcza 93,6% ogólnej ilości uczęszczających dzieci do szkół powszechnych, to na wsi pod tym względem pozostaje jeszcze dużo do życzenia albowiem tu ów procent wynosi zaledwie 13,01.

Kwestję mieszkaniową starano się szybko rozwiązać przy pomocy wynajmu izb szkolnych, oraz budowaniu z roku na rok bardzo skromnej ilości budynków szkolnych z funduszu na ten cel przez Rząd sponowanego.

W rezultacie takiego sposobu rozwiązania tej kwestji dziś na terenie Rzeczypospolitej prócz Śląska izb szkolnych wynajętych wynosi 45% ogólnej ilości izb szkolnych wynajętych wynosi 45% ogólnej ilości izb szkolnych.

„Jakiego rodzaju są te izby wynajmowane, świadczą o tem wymiary ich. Oto o ile przeciętna powierzchnia własnych izb lekcyjnych wynosiła w r. 1925-6 w miastach 50,9 m<sup>2</sup> a po wsiach 47,7 m<sup>2</sup>, o tyle przeciętna powierzchnia izb wynajętych wynosiła po wsiach 29 m<sup>2</sup>”.

„W jakich nieprawdopodobnych wprost i niepojętych dla umysłu Europejczyka warunkach pobiera naukę nasza dziatwa w szkołach miejskich, niech świadczy fakt, iż umieszczamy po kilkadziesiąt dzieci w izbie, dosłownie o kilkumetrowej powierzchni.”

Oto takie zestawienie.

W Zajeziorku, w powiecie sandomierskim jest 1 izba o powierzchni 6,8 m<sup>2</sup>, ilość dzieci 53, ilość dzieci na 1 m<sup>2</sup>—8.

W Małym Końskiem, w powiecie Opoczno 1 izba o powierzchni 6,6 m<sup>2</sup>, ilość dzieci 51, na 1 m<sup>2</sup>—8.

W Walicy w pow. jędrzejowskim 1 izba o powierzchni 6,2 m<sup>2</sup>, dzieci 59, na 1 m<sup>2</sup> 9,5!

Widzimy więc, iż w nienadających się nawet na po-

mieszkanie kilkunastu sztuk drobiu klikach o 6,2 m<sup>2</sup> powierzchni zakładamy to, co chyba dla ironji nazywamy szkołą, mieszcząc w najokropniejszych warunkach higienicznych 60 dzieci, na to chyba, by w ciasnocie i zaduchu chorobami zdziesiątkować tę dziatwę, a to wszystko rzekomo dla jej dobra!

O zimnie, wilgoci i zaduchu świadczą inne cyfry. Na 11,274 dzieci szkolnych, poddanych badaniu lekarskiemu w roku bieżącym, w powiecie lubelskim 4309 było gorączkujących, zagrożonych gruźlicą, a u 1180 stwierdzono zdeklarowaną gruźlicę. 50% dziatwy szkolnej znalazło się w objęciach straszliwej choroby. Jeszcze gorzej w miastach „Badania dzieci szkół powszechnych w Warszawie, przeprowadzone w r. 1923-24, wykazało, iż 70% dzieci było jawnie gruźlicznymi i zagrożonymi chorobą”.

Ten okropny los dziatwy dzieli także nauczyciel, bo i dla niego w przyspieszonym własnymi rękami tempie rozwoju szkolnictwa nikt nie pomyślał o należnym, ludzkim dachu nad głową. Niska nieraz bez podłogi i pieca izba mieszkalna o 8 m<sup>2</sup> powierzchni w walącej się wilgotnej izbie to często spotykane mieszkanie nauczyciela”.

— Te cytaty wymownie świadczą o warunkach życia dzisiejszej szkoły powszechnej i jego nauczyciela.

(dokończenie nastąpi)

Redaktor.

## **O rzekomej prawdomówności czyli o tem, że w organizacjach uczniowskich pracować niewarto, stów kilka.**

Aczkolwiek długi jest tytuł, nie powinien zdziwić nikogo, gdyż jest w stylu redaktora, a każdy z czytających, przy małej nawet uwadze spostrzeże związek jego z naszą organizacją.

W ostatnich latach utarło się powszechnie powiedzenie, że czas poświęcony na pracę w organizacji jest bezowocnie stracony. Najczęściej i najgłośniej wygłaszają tę zasadę ci, którzy wcale w organizacjach uczniowskich nie pracowali, którzy nie mieli możności stwierdzić, czy organizacja daje korzyści czy nie i, jestem pewny, nigdy nie zastanawiali się głębiej nad tą sprawą. I nietylko uczniowie tak mówią. Miałem możność rozmawiać w tej sprawie

z wychowankami seminarjum białostockiego, pułtuskiego, brodnickiego i innych, którzy przeważnie twierdzili, że praca w organizacjach nic im nie dała, względnie bardzo mało, że czas, który włożyli w pracę organizacyjną stokroć większą korzyść przyniosłby im, gdyby go zużyli na pracę czysto naukową.

Ja jestem innego zdania. Być może, że praca w organizacji nie da bezpośrednio takich konkretnych wyników jak praca naukowa, być może nawet mniej pomoże do złożenia matury, niż znajomość sposobów rozmnażania się robaków. Ale to jeszcze nie dowodzi zebyśmy mieli rzucić pracę społeczną. Gdybyśmy nawet przyjęli tę zasadę, że równa ilość czasu poświęcona na pracę naukową, da większy rezultat od pracy społecznej, to też jeszcze kwestji nie rozwiązuje.

Powstaje zagadnienie, czy młodzież w dzisiejszych warunkach, będąc pozbawiona możności pracy w organizacji czas ten zużyje na pracę naukową. Jestem mocno przekonany, że nie. W 90% czas ten będzie zużyty na płytkie zabawy, rzeczy niegodne uwagi, a nie na pracę naukową. Zdaje mi się, że dzisiaj, mimo ogólnych narzekania, pracy naukowej w szkole nie jest mało. Być może iż przed wojną było jej więcej, raczej powiedziałbym w innej formie, ale za to przedwojennego sztubaka nie zajmowało lotnictwo, gazy, radjo, sport i t. p., a trudno powiedzieć, że te kwestje nie są naukowymi. Mam wrażenie, że różnica leży w tem, jak kto je traktuje.

To samo i z samorządem uczniowskim.

Narazie zdaje się, że to nic, szczególnie tym, którzy, przychodząc do seminarjum zastają już dobrze prosperującą organizację, wypożycz. podręcz. K.O.P., sklepik, zdaje mu się, że to tak być powinno, że poprostu inaczej być nie może. Tam ktoś pracuje, ktoś jest prezesem, jak niema czegoś w sklepiku, to wymyślają gospodarza i są bardzo zadowoleni z sytuacji. A czy się chociaż przez chwilę zastanowili, jakimi sposobami zdobyto to, co dzisiaj jest, że to wszystko jest wynikiem pracy kilku pokoleń, które przeszły przez seminarjum, że organizacja powolną drogą doszła do tego rozkwitu, w jakim się dzisiaj znajduje.

A to wszystko, co dzisiaj jest K.O.P. i sklepik, i wyp. podr. i przech. sceniczny to wszystko jest nie Dyrekcji, nie prezesa, nie zarządu ani Rózi, lub Mikołaja, ale to wszystko jest nasze i tylko nasze.

A jeżeli to jest nasze to powinniśmy je poznać i co za tem idzie ocenić i ukochać.

Wiemy o stosunkach społecznych u Rzymian, wiemy jak wyglądał samorząd u Trocendorfa z Joldbergu, ale jak wyglądała nasza organizacja przed dwoma lub pięciu laty, napewno niewiele osób zdaje sobie z tego sprawę. A przecież żeby mieć zapał i chęć do pracy, trzeba to trochę, chociaż trochę poznać.

Korzyści z pracy w organizacji są wielkie i trwałe. W czasie pobytu w szkole wspólne wigilje, zabawy względnie inne uroczystości pozostawiają niezatarte ślady w duszy każdego uczestnika. Życie nieraz tak się może ułożyć, że te uroczystości są jedynymi jaśniejszemi chwilami w życiu wielu jednostek. Dostawszy się w zapadły ką, siedzi się czasem aż do zdziczenia poprostu. I wtenczas żyje się wspomnieniami, ale nie tych lub innych lekcji, lecz wspomnieniami wigilji, pracy w organizacjach, wspólnych zabaw i t.p.

W rzeczywistości praca ta może być czasem nawet ciężką, monotonna ale dołą swoją może pracownik poprawić przez odpowiednie ustosunkowanie się do tej pracy.

Trzeba uprzytomnić sobie, że np. skarbnik główny, lub kierowniczką wyp. podręczników nie są na to, aby mechanicznie wydawali pieniądze lub książki i robili odpowiednie notatki w odpowiednich księgach, ale to są ludzie, którzy honorowo zajmują stanowiska w tak szanownej instytucji jak „Uczniowskie Stowarzyszenie Spółdzielcze Bratnia Pomoc przy Państwowych Seminarjach Nauczycielskich w Białymstoku”. Jeżeli wywiążą się ze swych zadań całkowicie, to ogół będzie z wdzięcznością wspominał ich imiona, a oni sami mogą się szcycić tem do śmierci. I ta świadomość, że się nie jest niczem, ale czemś, czasem, może pobudzić do pracy społecznej w życiu późniejszym.

Mam wrażenie, iż bardzo ciekawie przedstawia się praca społeczna wśród naszych koleżanek, kolegów, którzy dziś pracują rozrzućeni po wsiach. Ja mam zaledwie garść obserwacji, ale i te mogę przytoczyć jako przykłady kontrastowe.

Nie dawniej jak tydzień (dziś 24.IV-30) odwiedziłem Pana Kopcia. Gdy wjeżdżałem do wsi uderzył mię las pionochronów, znajdujących się omal w każdym podwórku.

Zaraz pomyślałem sobie, że to jego sprawa. I rzeczywiście, późniejsza rozmowa potwierdziła moje przypuszczenia. Prócz tego dowiedziałem się, że zorganizował spół-

dzielnię mleczarską Kasą Stefczyka, koło młodzieży wiejskiej. W toku jest organizacja spółdzielni rolniczo-budowlanej, (budowa cegielni) gdyż cegła jest potrzebna na szkołę, dom ludowy, sklep spółdzielczy, kościół i t. p. Człowiek ma perspektywę, cieszy się rezultatem swej pracy sam nie zajmuje żadnych stanowisk, pilnuje tylko roboty, by szła. A jak był w szkole tak i teraz obłożony regulaminami. Proszę zważyć, że to zrobił jeden człowiek w ciągu trzech lat poza pracą zawodową.

Może ktoś powiedzieć, że pan Kopeć jest jednostką wyjątkową. Znam więcej podobnych środowisk, znam pracę niektórych koleżanek, jednak trudno mi jest tu wyliczać.

Kontrastowego przykładu nie przytoczę, by kogoś nie obrazić, lecz mógłbym. Przytoczę tylko zdanie, które słyszałem od jednego nauczyciela. „Wiesz ja się z tymi chamami wcale nie zadaję oni po jednym roku już się mnie trochę boją”. Tak mówił polski nauczyciel o obywatelach. Szczęście, że nie u nas złożył maturę, chociaż kiedyś uczył się w sem. białostockim. Ale jakież korzyści z takich ludzi ma społeczeństwo?

Znam inne środowisko, gdzie siedzi pięć sił nauczycielskich, a pożytku w pracy społecznej z nich żadnej.

Było S. M. P. i strzelec, to po 2 latach strzelec jeszcze wegetuje, a o S. M. P. już nikt nawet nie wspomina. A ludność narzeka. I ma słuszość. Przypuszczam, że ci ludzie w czasie pobytu swego w szkole, niewiele interesowali się organizacjami, o ile takowe istniały na terenach ich zakładów.

Często pracownicy organizacji narzekają, że im się krzywda dzieje. Zdaje mi się, że przeciwnie. Krzywda się dzieje, ale tym, którzy w organizacjach nie pracują. Oni sami czasem tej krzywdy nie spostrzegą, ale odczuje ją społeczeństwo, mając takich wychowawców.

Nie wiem, jaki oddźwięk wywołają moje refleksje wśród szanownych koleżanek i kolegów. Być może, że niejeden powie, „mądrzy się” lub „wygłupia”, ale to nic, dobre i tyle.

Celowo nie poruszyłem jeszcze wielu zagadnień, związanych z pracą w organizacjach, uważając dzisiejszą „porcję” za wystarczającą.

Może koleżanki lub koledzy dodadzą coś.

Bej.

## U stóp Giewontu.

Jasny, pogodny dzień czerwcowy ozłocił mnogie szczyty gór.

Właśnie nieliczna gromadka naszych czwartokursistów zatrzymała się po drodze w obliczu groźnego Giewontu. Przecudne tło przyrody niemy zachwytem podnosi strudzone piersi. Ta tajemnicza dzikość tylu różnorodnych form natury z jakąś magnetyczną siłą porywa nasz wzrok i mimowoli przykuwa go do najdrobniejszych szczegółów.

Oto na niezbyt wysokiej hali, gdzie zatrzymała się nasza gromadka, leżą w miłym nieporządku pojedyncze spróchniałe pnie drzew, które kiedyś zdradziecko zostały obalone przez niszczące wiatry halne. Pomiędzy nimi tu i ówdzie sterczą pojedyncze łyse głazy fliszu. Nieco dalej, powyżej linii horyzontu naszych oczu, potężny bór iglasty podpira zmurszałe wierzchołki gór, nakrapianych od dołu ciemno-zielonemi plamami kosodrzewiny. Najwyższe wzniesienia gór kontrastowo odcinają się nagością swoich popękanych skał od bujnej zieleni dolin. Tam krzepkie jodły z ponurą zajadłością wciskają się splotem wężowisk swoich korzeni w życiodajne szczeliny skalne. Stożkowate ich korony, szczelnie zwarte w nieprawidłowe kolumny milczą ponuro i z pogardą patrzą na niższe „doliny płaczu”. Pod zwartem sklepieniem ich konarów czai się mrok ponury.

Z poszczególnych pni zwisają długie, rozstrzępione brody sędziwego mchu, ubielonego wiekiem. U dołu gęste podszycie wyrudziałego mchu górskiego dopełnia piękna harmonji kolorów. W dali, jak wzrok sięgnie, zarysowują się lekkie kontury szczytów górskich, dekoracyjnie popisanych językami śniegu; bliżej nieco błękitne pasy regli tatrzańskich podścielają stopy olbrzymów skalnych.

Ale nad tym całym arcycudem krajobrazu króluje Giewont. Wielkość i majestat jego postaci wyróżnia go z pośród szeregu współbraci-sąsiadów. Z wielką fantazją i kaprysem zanurzył on swe odwiecznie poważne czoło w kłębiastej masie chmur. Ta natrętnie usiłuje zewsząd zasłonić oblicze jego przed blaskiem złotych promieni słońca; przewala się więc leniwie po jego sędziwych zmarszczkach, troksliwie wyrzeźbionych nieubłaganym zębem czasu. Od czasu do czasu natrętna chmura, jakby przestraszona bielejącymi kłami śniegu posepnie milczącego Giewontu, pierzcha gorączkowo na inne szczyty. Również to majestatycznie

widnieje na jego chropawej łysinie kontur krzyża, wzniesionego rękami pierwszych śmiałków-turystów. Jakaś tajemnicza, nadziemska cisza okala jego wyniosłą postać—niedosłyszalne jakieś pomruki głoszą odwieczny pean chwały i majestatu króla polskich gór. Tu przejawia wielkość i niedosięga moc Stwórcy, dla którego podświadomie rodzi się w duszy uwielbienie i chwała.

„O wielki poemacie natury!” Jakież łatwo możesz wywabić z cielesnej powłoki ducha i zmusić go do wzlotu na niedosięgalne wyżyny marzeń coraz dalej..., coraz wyżej...!

Józef Horodeński.

## Noc letnia.

Cicha, letnia wstała noc,  
Wszystko wokół drży czarami,  
Nad rzeczułką duchów moc  
Gra swobodnie z jej falami.

Wszystko ciche, tajemnicze,  
Taka cisza wszędzie śpi,  
Księżyc płonie na błękitnie,  
A moc gwiazdek w górze lśni.

Białe mgły z nad wody wstają,  
Płyną jak ofiarny dym,  
Różne kształty z nich powstają  
Zdobiać ziemię tiulem swym.

Łany zbóż cicho szumiące  
Złoci księżyc blaskiem swym,  
Drzewa, trawy, zioła śpiące  
Cicho gwarzą w blasku tym.

Ze zroszonej cichej łąki  
Kwiaty ślą swą woń i moc,  
W trawach zcicha bzycają bąki,  
Ach! Jak cudna letnia noc.

E. Skrzędziejewska III. z.

## Hej, wakacje już minęły!

Hej, wakacje już minęły,  
Skończył się ten błogi czas,  
Już do pracy zasiąść trzeba  
Szkola woła! Woła nas!

Hej! Do pracy wszyscy stańmy  
Z chęcią, raźnie a wesoło,  
Znów wracamy w twoje mury,  
Ukochana nasza szkoła!

Znów zatętni w tobie życie,  
Gwarem zabrzmią korytarze,  
Każdy wita cię z radością,  
Śmieją się do ciebie twarze.

W twoje stare, szkoła, mury  
Nasza młodzież z wakacyj wraca,  
Bo od dziś się rozpoczyna  
Szkolna, ciężka, żmudna praca.

*E. Skrzędziejewska III ż.*

## Lecą liście.

Lecą, lecą liście z drzewa,  
Gnane wichru wielką siłą,  
Który wyje, hula, śpiewa  
Jak nad grobem, nad mogiłą.

Lecą żółkłe liście z drzewa,  
Zasypują sobie drogi,  
Wiatr je miota i rozwiewa,  
Biedne liście aż drżą z trwogi.

Ale wiatr na nic nie zważa,  
Zgania biedne liście z drzewa  
I wesoły z swego dzieła  
Jęczy, wyje, hula, śpiewa.

*E. Skrzędziejewska III ż.*

## Wrażenia ze Złotu w Pieskach.

Wyjechałyśmy w piątek 27 czerwca o 3-ej godz. zrana. Miałyśmy jechać koleją, ale dziwnym losów zdarzeniem pojechałyśmy autem.

Zresztą choć auto „było droższe”, jednak wołałyśmy jechać niemi, niż pociągami, który i tak dał się nam w znaki na wycieczce szkolnej. Jechało nas szesnaście, osiem z drużyny V-tej Seminarjalnej i osiem z drużyny prowadzonej przez nas. Mijałyśmy po drodze miasteczka i wsie śpiące jeszcze, tylko pastuszki gnały bydło na pole. Okryte kożuchami przed zimnem i deszczem przystawały na drodze i gapiły się. Auto śpiewało, rzekłszy prawdę, ryczało wszelkimi głosami, aż „uszy puchły”. Po drodze musiałyśmy wysiadać, bo siła głosów i ciężar właściwy harcerek sprawiły, iż pękła opona. Pogoda z początku nie sprzyjała nam, zbliżyłyśmy się do Grodna—deszcz lał. Przejechałyśmy ukochany Niemen, pamiętny ze wspomnień, z wycieczki I-ych kursów do Grodna. Minęłyśmy dworzec, Seminarjum, stanęłyśmy przed internatem żeńskim Sem. Naucz. koło elektrowni. Rozlokowałyśmy się wygodnie. Po śniadaniu Stacha zabrała się do zbierania prowiantów, pomagałam jej w tem gorliwie. „Komenda” radziła nad rozdaniem funkcji, inne druhenki poszły spać, mnie zaś nie wypadało, bo „niby się wyspałam”, później jednak poszłam „chrapać na chwileczkę”.

O godz. 10-tej miał przybyć „Śmigły”, by zabrać nas i wieść dalej, ruszyłyśmy więc do przystani. Kawał było drogi, a garnki, kije, plecaki... ufl! ciężkie! Przybyłyśmy, statku nie było. Półgodzinne oczekiwanie ostadzałyśmy gapieniem się, nuceniem piosnek i rozmową. Stałek wreszcie przybył, ruszyłyśmy nim do Piesek, ale „Śmigły” nie był wcale w tego słowa znaczeniu śmigłym, jechałyśmy zbyt długo. Winien był temu lazurowy Niemen, który stracił na opinii, jak i na wodzie, utykałyśmy na mieliznach. Po ciężkich cierpieniach przybyłyśmy na godz. 4-tą pp. Skracaliśmy zresztą czas piosenkami, lub gawędą.

Złot miał trwać trzy dni; piątek był już zużytkowany na jazdę, pozostało czasu niewiele; z rozkazu druheny Komendantki zużytkowałyśmy go na rozstawianie namiotów i porządkowanie. Druheny pracowały szybko i sprawnie, tak, że owoce pracy szybko zaczęły się ujawniać.

Prawdziwym dniem złotowym była sobota. Gromadka nas była spora do 50 osób, ale środowisk niewiele, tylko



Białystok i Grodno: był to Zlot Chorągwi Białostockiej Żeńskiej. Pogoda sprzyjała. Obóz był rozbity na wzgórzu, tuż w dole płynął Niemen. W nim to kilka razy dziennie myłyśmy się, myłyśmy naczynia, szorowałyśmy garnki i co się dało. Dzień był podobnym do innych dni obozowych, ale stokroć przyjemniejszym.

Mimo, iż małośmy się znały, atmosfera pañowała jednak przyjacielska; stanowimy zresztą małe (nie powiem, że bardzo małe) społeczeństwo w wielkim społeczeństwie polskiem, mające wspólny cel, wspólną ideę, prawo i regulamin. Po gimnastyce, sprzątaniu, myciu się i modlitwie porannej w pełnym umundurowaniu pośpieszyłyśmy na linię zbiórek. Druhá Komendantka otworzyła Zlot, przyjęła raport. Po śniadaniu oczyściłyśmy plac koło namiotów, następnie poszczególne drużyny ruszyły na określony czas na wycieczki zasadniczo przyrodnicze, ale i mające na celu zbadanie geologii tamtej miejscowości.

Pozatem na wycieczce pokryjomu drużyny przygotowały się do występów przy ognisku, a chwilę poświęcały na poziomki. To był naturalnie naddatek wcale w programie wycieczki nie przewidziany. Wycieczka dała nam to, co mogła dać: poznałyśmy roślinność charakterystyczną dla danej miejscowości, roślinność podobną do naszej, następnie erozję rzeczną. W okolicach „Piesek” nadniemeńskie wzniesienie jest gęsto porzeźbione strumykami, które coraz głębiej wrzynają się w ziemię, tworzą pagórki; krańce ich zboczy leżą na wyschniętych dolinach strumyków, lub w porze dżdżystej nad strumykami. W tych to „jarach” zbierałyśmy poziomki. Pora była wracać, więc śpiewając szłyśmy do obozu.

Wkrótce, orzeźwione kąpielą w Niemnie, gdy godzina obiadowa nadeszła z piosenką „Gdy po ćwiczeniach wolny mamy czas” ruszyłyśmy po przypaloną zupę obozową i jeszcze po „co Bóg da i kucharki zgotowały. Po obiedzie pół godziny ciszy bezwzględnej i chyba godzina ciszy względnej, następnie gry na plaży, odległej o 1 klm. od obozu dopełniały zwykły dzień obozowy. Po grach nastąpiła kąpiel w kryształowych wodach Niemna. Kilka druhen „pływających” zbadało grunt, większość jednak druhen pływała „po warszawsku” t. zn. na czworakach po piasku. Po grach i kąpeli wróciliśmy do obozu na kolację, po kolacji ognisko. Ognisko! to coś wymarzonego, to wszystko, co jest najdroższego w obozie, to świętość; chwile takich ognisk pozostają nazawsze w pamięci. To ognisko wielkie uczyniło wrażenie,

szczególnie miła mowa drużny Komendantki Zlotu i Chor. Biał. otwierającej Zlot i zamykającej go. Druhá zachęcała nas, byśmy w przyszłej pracy harcerskiej szły z zapałem i energią, byśmy, wśród innych, były pionierkami budującymi wielki gmach—Polskę. Piosenki harcerskie, tańce, balety uweselały wieczorną chwilę ogniska. Układane wierszyki, na znane melodie budziły powszechną radość. Kończyliśmy dzień modlitwą harcerką. Daleko... hen! przez las brzmiały słowa głębokie i poważne:

„O Panie Boże, Ojczy Nasz  
W opiece Swej nas miej...”

Nazajutrz część Grodna i Białegostoku wyjechała, została nasza drużyna i pozostała część druhen z Grodna. Zostałyśmy, by choć dzień jeszcze spędzić na łonie przyrody, by zażywać przyjemnych i strasznych chwil nocnych wart, i by uwieńczyć mile chwilę Zlotu włóczęgą obozową.

Jaśka Kotyńska IV ż.

## Szanowna Redakcjo!

Na głos trąbki redakcyjnej staję do apelu, choć jestem przekonany, że artykuł mój trafi do kosza, ale piszę, chcąc dać innym przykład, bo gazetka musi istnieć. Choćby dlatego, żeby nie zrobić zawodu p. prof. Małkowi, który tak gorąco popierał sprawę gazetki, na Zebraniu Walnem U.S.S. „Br. P”, naturalnie mając na względzie inny cel, więcej poważniejszy.

Włóczęga.

## W górach

Wczesnym rankiem ruszyliśmy na zdobycie Zawratu. Pogoda była śliczna. U rogatek Zakopanego wybieramy drogę. Decydujemy się iść doliną Jaworzynki, przez „Przełęcz między Kopami”, i Halą Królowej Wyżniej do Hali Gąsienicowej. Dalej obok Zmarzłego Stawu, przez Zawrat do Doliny Pięciu Stawów Polskich i do Morskiego Oka. Tą trasę musimy przebyć w ciągu jednego dnia. Każdy z nas dźwiga na barkach plecak z żywnością na trzy dni a w rękę laskę i jeszcze jakiś dodatek (skrzypce, naczynia kuchenne i t. d.) Co raz to bardziej stromo. Pot zrasza nasze czoła. Niektó-

rzy z nas zdjęli mundury szkolne a włożyli koszulki sportowe i spodeńki harcerskie. Na przedzie maszeruje Zyś, z nim Władem no i ja. Wyprzedziliśmy wszystkich o jakieś 10 minut czasu. Korzystamy z tego. Odpoczywamy, czekając aż nadejdą inni. Mijamy pas regli, potem kosodrzewinę i wreszcie docieramy do Hali Gąsienicowej. Wzniesiona jest ona około 1520 m. (nad poziom morza). Dawniej była zwaną Halą przy Stawach.

Jest najpiękniejszą z hal tatrzańskich. Roztacza się stąd wspaniały widok na otaczające od południa szczyty Tatr Wysokich i od północnego-zachodu łagodne szczyty Tatr Zachodnich. Z Hali Gąsienicowej ruszamy w kierunku Czarnego Stawu Gąsienicowego pod Kościelcem. U stóp masywu skalnego rozpościera się tafla wody, lekko pomarszczona podmuchami wiatru. Staw położony jest na wysokości 1620 m. Widok na niego jest cudowny, jest jednym z najpiękniejszych stawów tatrzańskich. Toń ma barwę ciemną, którą powoduje znaczna głębokość (50 m) i otoczenie wysokich ścian skalnych.

Powierzchnia wynosi 22,87 ha., więc co do wielkości, Czarny Staw Gąsienicowy jest trzecim z kolei ze stawów tatrzańskich. Zatrzymujemy się nad jego brzegiem. Zrzucamy plecaki, zdejmujemy buty i biegniemy do wody. Prędko wskoczyliśmy do niej ale jeszcze prędzej wyskoczyliśmy, gdyż, woda była zimna jak lód. Potem już każdy ostrożnie zanurzał nogę do wody i szybko biegł na słońce, aby rozgrzać zziębnięte stopy. Ja z Władkiem bez odpoczynku zabrałem się do gotowania herbaty. Prowiantowi rozdali porcje. Po chwili rozległo się chrupanie. W czasie posiłku nastąpiło odznaczenie naszych prowiantowych, za dobry nadzór nad żołądkami wycieczkowiczów. Każdy z nich (było ich dwóch) dostał po jajku na twardo.

Godzina druga. Po spakowaniu ruszyliśmy dalej. Każdy wypoczęty i syty ochoczo szedł na podbój Zawratu. Ścieżka prowadzi po gruzowisku skalnym. Zewsząd małymi strumieniami płynie woda z topiącego się śniegu. Po lewej stronie ścieżki mijamy Zmarzły Staw pod Zawratem. Leży on na wysokości 1785 m. w posępnym, zasypnym gładzi kotle (0,21 ha powierzchnia). Do połowy lata pokrywa go lód. Potok ze stawu spływa kaskadami przez stromy próg skalny do Czarnego Stawu Gąsienicowego. Mijamy ten potok, poczem po rumowiskach skalnych wznosimy się po coraz to bardziej ~~bardziej~~ stromych zboczach.

Wchodzimy na niewysoki próg skalny bez trudu i ciągle wspinając się w górę, przez leżący tu do końca lata śnieg, dochodzimy do skalnej koliby, kilkanaście metrów powyżej Zmarzłego St. Od koliby skalnej, ścieżka po gładziach, wspina się na lewo od zasłanego gładzi Żlebu Zawratowego popod ściany pierwszych skał. Tu już zaczynamy wspinać się przy pomocy klamer i łańcuchów. Po 2<sup>1/2</sup> godz. od Hali Gąsienicowej stanęliśmy na Zawracie. (2158 metrów) Wąska jest to przełęcz, między Zawratową Turnią, a Małym Kozim Wierchem. Te szczyty tworzą wrota, przez które wiedzie w głąb Tatr najbardziej uczęszczany szlak turystyczny. Tu większość taterników zaczyna swe kwalifikacje. Obecnie droga jest udostępniona wszystkim. Rokrocznie olbrzymie rzesze wycieczkowiczów wędruje tym pięknym, podniebnym szlakiem.

Przejście to jednak nie straciło swego uroku i dlatego jest uczęszczana przez wszystkich. Wspaniały otwiera się widok w stronę południową. Jak oko sięga, wszędzie tylko nagie turnie, groźnie sterczące ku niebu.

Krajobraz dziki, ale zato niewysłowienie piękny. Opłaciły się nasze trudy przy zdobywaniu Zawratu, pomimo, że byliśmy pozostawieni własnej sili i odwadze. Najgorszym był odcinek klamer i łańcuchów, kiedy jedną ręką kurczowo trzymaliśmy łańcuch, a w drugiej była laska i jakiś pakunek. Nasz sprzęt wędrował sztafetą w górę. Skrzypce wraz ze smykem o mało nie pojechały raz do Zmarzłego Stawu. Ale co za wspaniały widok, gdy spojrzysz w dół. Wszędzie nagie skały stromo spadające w dół i tworzące przepaście. Do skał tych przyczepieni chłopcy wyglądają, jak mrówki niezmordowane a które ciągle gdzieś dają. Na Zawracie odpoczywamy i jazda w dół ku Dolinie Pięciu Stawów Polskich. Ścieżka prowadzi po mocno pochylonym zboczu, zasłanym gładzi. Schodzimy na dno dolinki pod Kołem.

Jest to najwyższe piętro Dol. Pięciu St. Polskich, na którym leży jeden z pięciu stawów nazwany Zadnim Stawem. Powoli coraz bardziej obniżamy się. Droga jest trudna, bo ścieżka prowadzi po stromym zboczu, które jest zasypane rumowiskiem. Nasz Jan raz się tu wyrócił, ale tylko stłukł sobie rękę i kolano (dobrze, że lekko). Nogi same robią olbrzymie susy. Po zejściu pół km. poculiśmy zmęczenie w udach i łydkach. Chłopcy zaczynają się bawić staczaniem kamieni w dół, które z wielkim rozpędem pod-

skakując, jak pilki, wpadały do Zadniego St. Około godziny szóstej wieczorem byliśmy kolo Wielkiego Stawu. Cała Dolina Pięciu Stawów zasłana jest olbrzymimi głazami (praca lodowca).

Dolina ta jest górną częścią doliny Rostoki. Leży ona między stromymi stokami Wołoszyna, Czuby, Ubocza Opalonego i Świstówki, licząc 4½ km. długości. Dnem jej płynie potok tej samej nazwy, który spadając z wielu progów skalnych, tworzy przepiękne kaskady. Od Wielkiego Stawu w Dol. Pięciu St. odplywa potok, który spada z wysokiego progu skalnego i tworzy największy wodospad w Tatrach—Siklawę.

Kilku z nas schodzi niżej, aby lepiej obejrzeć Siklawę. Ja z przeciwnego zbocza robie zdjęcie wodospadu. Siklawka składa się właściwie z dwóch głównych strumieni i trzeciego bocznego, które spadają 70 m. w dół. Od Siklawy ruszamy nieco zwawiej, gdyż wieczór zapasem. Mijamy drewniane Schronisko Oddziału Zakopiańskiego P. T. T. im. Leopolda Świerza, tuż nad Małym Stawem. W tempie przyspieszonym idziem oddawna znanym szlakiem turystycznym, z którego rozlegają się nadzwyczaj wspaniałe i pięknie urozmaicone widoki.

Zaczynamy powoli wznosić się na grzbiet boczny, zwany Świstówką (17.74 m.). Stąd zlekka ku górze wychodzimy ścieżką na następny grzbiet stromy. Potem po zboczu Opalonego Wierchu (2116 m.) spuszcza się w dół ku kotlinie Morskiego Oka. Ścieżka prowadzi zrazu przez halę, potem przez kosodrzewinę, a wreszcie wchodzimy w świerkowy las. Im bardziej obniżamy się, tem coraz częściej ukazują się drzewa liściaste. Gdzie niegdzie widać poszczególne grupy limb, stojących samotnie, jakby dumały o przeszłości gór. Ze ścieżki widać całą kotlinę Morskiego Oka; wraz z widokiem na szczyty: Żabi, Rysy (2503 m.), Mięgużowiecki (2437 m.), Czybryn (2378 m.) i Mnicha (2064 m.). Zbocza pokryte są śniegiem. Już o zmroku docieramy do goścince, który prowadzi z Morskiego Oka do Zakopanego. Zawitaliśmy tu (w Morskim Oku) około godziny ósmej minut trzydzieści wieczorem.

Władek nie próżnuje. Zapytuje on jednego z górali „czy można przejść przez ~~hale~~ (zamiast Rysy) na stronę Czecho-Słowacką”. Błąd swój spostrzega dopiero po kilkakrotnym poprawieniu go przez kolegów. Zachodzimy do Schroniska i zamawiamy noclegi oraz kolację. Kolację zjadamy z wiel-

kim apetytem no i dobranoć obywatele, bo ciało po całodziennej wędrówce żąda odpoczynku a duch nasz musi też trochę otrzeźwieć z wrażeń, aby nie stać się nawskroś romantycznym. Ale trzeba kończyć. Morskie Oko położone na 1393 m., uważane jest za najpiękniejsze jezioro w Tatrach. Nazwa Morskiego Oka przyjęła powszechnie, pochodzi od legendy, która głosi, jakoby jest podziemne połączenie jeziora tego z morzem.

Dawniej zwało się ono Rybim Jeziorem od obfitości ryb (pstrągi, lipienie, łososie) Morskie Oko zajmuje drugie miejsce co do wielkości obszaru, bo ma 33 ha. (Wielki Staw w Dol. Pięciu St. 34,84 ha.). Głębokość największa 53,5 m. Brzegi Morskiego Oka porośnięte są przez kosówkę, lasy smreczane, liściaste i limby. Bogata roślinność wraz z rozległą modrą tonią i dzikie urwiska skalne dają oku wiele przepięknych obrazów.

Dobranoc, bo chcę spać!

Włóczęga.

Morskie Oko 12 czerwca 1930 roku.

## Barszcz w Siomkach.

Fragment z włóczęgi po Polsce.

13 lipiec 19..., mniejsza o to, którego roku...

Mży drobny, przyjmujący do szpiku, beznadziejny deszcz. Malutkie, prawie niewidoczne kropelki mętnej wody zasłaniają cały widnokrąg, wiją się cienkimi strugami po rozmokłej drodze i zda się przenikają do duszy ludzkiej wijąc w niej chłód i posępność.

Idziemy właśnie tą drogą—przed siebie, byle prędzej, byle dalej. Idę posępny, milczący, jak jak ten szary dzień, a obok kroczy Lopek, nadrabiając nieco minę i wając coś w myślach.

„Pieska pogoda”—odzywa się wreszcie sentencjonalnie — „I na licha to było wylazić z tego Piotrkowa w taki czas?”.

— To sobie usiądź na drodze i siedź — odpowiadam krótko.

Po chwili ciszy, przerywanej monotonnym szelestem padających kropel deszczu i pluskiem wyrzucanego nogami

błota, słyszę za sobą: „Tak, usiądź i siedź... mądrała... przecież jakbym usiadł, to, rzecz jasna, zamoczyłbym sobie pewną część garderoby, no i ciała...”

— A tak to jesteś zuch, co? — odrzucam filozofowi i przyśpieszam kroku o ile na to pozwala oślizgła droga. Lopek, widząc bezcelowość filozofowania, schował starannie swój nos w mokrą bluzę i idąc za przykładem, silniej zaczął człapać, buciskami o wodę. W ten sposób „płynęliśmy” drogą wśród chlupotu błota, oblepiającego nogi i szumu deszczu kilka godzin, które wiekami się nam wydały, aż zaczęło się na dobre ściemniać. Szary cień kładł się na polach i otulał czarnym, jak kir, całunem mokrą, zziębniętą ziemię. Gdzieś przed nami mięga słabe światełko, do niego to właśnie dążymy głodni, skostniaли i miotający gromy na cały ten paskudny, mokry świat. Wreszcie jesteśmy u celu, przechodzimy kilka ciemnych, zapadniętych chałup i stajemy przed jasnym oknem, z którego bije gwar rozbawionych głosów i wydiera się straszliwie jakieś zachryple stare gracisko—gramofon. Kierujemy się śpiesznie do drzwi, ponieważ żołądki wtórują gramofonowi ostrego marsza. Na szczęście znaleźliśmy wójta, który dokładnie obejrzawszy wpierw nas od zabitoconych stóp do mokrych haniebnie głów, niemniej dokładnie i uważnie obejrzał nasze podobizny na legitymacjach, lecz czyto z powodu „kurzu”, co „szedł” mu z czupryny, czy też naszego wyglądu, nie mógł się dopatrzeć podobieństwa, bo z wielką wątpliwością, kiwając z niedowierzaniem na wszystkie strony głową i całą swą urzędową osobą, zaprowadził nas na „noclik” do najbliższego gospodarza... Po kolacji, podczas której wysłuchaliśmy całą litanję przeróżnych nieszczęść i kłopotów gospodarskich, a to o prosioku, co został sprzedany bez pieniędzy, o ziemniakach, co nie obrodziły z powodu suszy (?!) i t. p., odzywa się wreszcie Lopek:

— „No, gospośiu, przyrzadzicie cośkolwiek nam jutro na śniadanie, a my już wam zapłacimy, co się będzie należało”.

— „Co my ta przyrzadzim?... ziemniaków nimo, chyba... My to sobie gotujęm barsc, ale... może pany tego nie lubieją? — Wtedy ja, jako wielki zwolennik jarzyn wogóle, a barszczu w szczególności, podchwyciłem natychmiast: — Ależ bardzo dobrze, barszcz lubimi i będziemy jedli, tylko dużo... — Stańto więc na tem, że na śniadanie będzie „barsc”.

Z otuchą w sercach na konto przyszłego, gorącego barszczu, układamy się w sianie na strychu przy miłym akompaniamencie porykującej żałośnie rogatej i nierogatej chudoby.

14 lipiec, 19...

O nieba! O wielki, gromowładny Zensie, Światowidzie, wielki proroku Mahomecie z swym bogiem, Allachem i wszystkie inne, światowe, ludzkie i nieludzkie bogi, spuście gromy na nędzną ziemię, co wydaje takie jarzyny! O jakże żałuję swych nieopatrnie wyrzuconych słów.

Oto pełni nadziei i dobrej myśli siadamy wczesnym rankiem do śniadania, lecz... cóż to?!... barszcz, nie barszcz?... kolor... biały, a raczej brudno-biały, czy szary, zapach kwasu, chlebowego, siarkowego, czy całkiem czegoś innego... Trwało to sekundę, może mniej, w ciągu zaś następnej, nawet niecałej sekundy, zdziwienie przechodzi w zdumienie, w straszliwy zawód i beznadziejne rozczarowanie, w końcu tępa rezygnacja, poddanie się woli opatrności i... jemy powoli, ostrożni, z grobowymi minami, spoglądając na siebie wymownie, to, co się w Siomkach (oby tylko w Siomkach!) nazywa szumnie barszczem, a co jest właściwie jakimś żurem, roztworem „czegoś z czemś”, czego by nie potrafił określić ani taki filozof, jakim był niegdyś s. p. Herkules, ani nowoczesny fizyk i chemik, a cóż dopiero my, zwykle włóczęgi ludzkie, mające tyle „w głowach”, co powietrza w dziurawych but... kieszeniach. Ale próbę wytrzymaliśmy bohatercko, pochwaliliśmy barszcz gospośi i wynieśliśmy się czempredziej na świeże powietrze. Lopek zdobył się na tyle odwagi, że zapłacił nawet za „śniadanie”. Na głodno więc i z kwaśnymi minami szliśmy dalej, nic do siebie nie mówiąc, jeno ciskając od czasu do czasu z cicha, lecz dobitnie, wszystkie gromy i pioruny z „jasnego” niestety nieba. I Zens, ani żaden bóg innej narodowości nie wysłuchał nas, bo niebo pozostało takim, jakim było, ni jasne, ni ciemne.

Ha, trudno, rzekliśmy sobie — „Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba” — i poszliśmy do następnej wsi „na mleko”.

Wchodzimy do jednej z chałup — „mleka nima”, do drugiej — „mleka nima”, wreszcie w chałupie trzeciej — jest, ale tylko „kwaskowe” — mówi gospośi. Kwaskowe, a więc po naszymu kwaśne, lecz i tu niestety jakiś zły omen nas prześladował, bo, słowo „kwaskowe” należało rozumieć

dowolnie, jak kto chce, tylko nie „słodkie” i nie „kwaśne”, a więc?...

Rzecz zrozumiała, że w trzeciej wsi żądaliśmy już wyraźnie mleka „słodkiego” i stamtąd dopiero poszliśmy względnie spokojnie w stronę Częstochowy.

*R-wicz IV.*

## Wypożyczalnia podręczników

przy „U. S. S. Br. P.”.

Największym kłopotem ucznia w początkach każdego roku szkolnego—to są książki. Chodzi biedny sztabaczyna zafrasowany i myśli ciągle, skąd je wytrzasnąć?

To też nic dziwnego, że przyszedłszy do szkoły w pewien piękny poranek wiosenny, odrazu spostrzeża ogłoszenie, napisane czerwonym ołówkiem, brzmiące mniej więcej tak:

„Dzisiaj, dnia tego i tego roku pańskiego 1930, wypożyczamy w czasie dużej przerwy książki, za odpowiednie pieniądze”!!!

Pod temi czerwonymi słowami (budzącymi wiele nadziei w naszych sercach), widnieją podpisy: naszej Julki i nie naszego, wielce szanownego i tyleż zasłużonego kolegi referenta Opieki Społecznej.

Od pierwszej pauzy, dnia tego, kol. Jula była formalnie obłożona. Nie mogła się na krok ruszyć bez towarzysztwa, miała powodzenie. „Koleżanko zapiszcie mnie, ja tylko chcę pożyczyć: metodykę, matematykę, psychologię, francuską i historję, więcej nic.—I o mnie koleżaneczko nie zapomnijcie, ja przecież już w zeszłym roku zamówiłam i na obozie razem z wami znosiłam dołę i niedołę.—A o mnie Julu pamiętasz ja... i t. d. i t. d. Biedna Jula musiała po dziesięć razy przyrzekać jednej osobie, zapisywać, przekreślać, zapewniać o pamięci.

Nadeszła duża pauza. Co się wtenczas działo przy gablotce z książkami—wiedzą dobrze seminarzystki i seminarzyści, a najlepiej to chyba kierowniczką i referent, któ-

rego czupryna o nieokreślonym kolorze, (a może i określonym sama nie wiem), migąła to tu, to tam wśród tiumu. Hałas był nie opisany i tylko od czasu, do czasu słychać było gniewny bas referenta nawołującego do spokoju. „Koleżanki i koledzy, proszę w kolejkę, proszę spokojnie, wszystkim starczy” i Jowiszowo ściągniętemi brwiami i z miną pozującą na lordowską, starał się kol. Czesiek niesforne sztabactwo ustawić. Ale weź tu poradź człowieku z uczniakiem, który się stara o zdobycie książki—trudno i darmo.

Cudów w przeciskaniu się naprzód dokonywała Zosia, która choć przyszła późno, jednak z triumfem jeszcze na 5 minut przed końcem przerwy (tajemnica łokci) wyniosła arytmetykę Mihałowicza.

Gdy na koniec przerwy w dzwon uderzono (takie powiedzenie modne jest teraz w Seminarjum), jeszcze gwarniej było przy gablotce.

„Ja już zapłaciłem 73<sup>1/2</sup> gr. ja proszę o książkę, a ja reszty nie dostałem, ja książki nie mam, jak tak może być kol. Julu, wstydźcie się(!)!!! I wszyscy, którzy nie dostali książek zaczęli przybierać groźne miny i napewno kamienia na kamieniu z gablotki, by nie zostało, gdyby nie herciczny wysiłek kolegi referenta, któremu w odpowiednim momencie udało się zamknąć gablotkę i stać się panem położenia.

Zacząli się rozchodzić. I wtenczas ciekawie było obserwować miny wracających. Jedni z uciechą dźwigali książki zdobyte pod pachą (byli to przeważnie koledzy, bo silniejsi i najwięksi prawdopodobnie najwięcej dostali); inni znowu wracali zachmurzeni, wyrzekając na niesprawiedliwość i zlorzecząc losowi.

*J. Łosiówna.*

## Nasze życie.

(Kartka z mojego pamiętnika).

...Jak paciorki różańca, jak krople deszczu, co w jesiennej porze monotonnie spływają po zamglonych szybach, albo jak łyzy bliźniacze, tak dni naszego życia są podobne do siebie i... fale przechodzą bez śladu...

Rano czy słońce świeci, czy deszcz pada pędzi ten, ów i setny do szkoły z żądzą wiedzy, gdzie oprócz teje zbiera dwoje i przyrzekając w duchu poprawę, mówi: „Jakoś tam będzie”. Temi słowami uwalnia się najczęściej od szeregu przykrych myśli, wywołanych przez refleksje o złym stopniu za złą odpowiedź. A chociaż kotłuje mu się nieraz w duszy, wywołuje na usta cichy szyderczy uśmiech, którym „maskuje się”, a na widok którego radość pierzcha jak spłoszony motyl.

I tak przez sześć godzin z rzędu (czasem przez pięć), kładą nam do głowy to, co najczęściej wejść do niej nie chce, albo nie może.

A podczas przerw chodzi się po korytarzu długim jak wieczność z tym uśmiechem, który wlecze za sobą wizję szarego smutku i żalu za ubiegłymi wakacjami, i... myśli się o końcu roku! (Boże odpuść(!), ale są takie wypadki.)

Wreszcie lekcje skończone! Niejedna pierś podnosi się tłumionem westchnieniem ulgi, czemu dziwić się nikt nie może, kto choć raz drżał przed fizyką, matematyką, czy innym nie mniej ważnym przedmiotem.

Wybiega się czempredzej z gmachu. Tu dajesz się nieść szarej fali tłumy, a gdy wyjdiesz na szerszą przestrzeń, lub w jakiś mniej odwiedzany zaułek, depczesz napół już zeschnięte liście i z jakąś bolesną rezygnacją godzisz się, że to już jesień...

Po obiedzie znowu książki aż do chwili, gdy mrok oprzędzie świat i wywoła szare tłumy „ludzi nocy”, którzy w świetle lamp elektrycznych snują się wraz z nieodłącznym swym cieniem tam i napowrót, najczęściej bez celu i intencji.

My, (zn. ci co niszczą książki), najczęściej o tej porze już leżąc w łóżku z błogością przymykamy ciężkie powieki, by przez kilka godzin z rzędu, snuć „bajki różowe, bajki błękitne”. I tak wciąż...

.....  
Jak paciorki różańca, jak krople deszczu, etc. i t. p... tak dnie naszego życia są podobne do siebie i... tak przechodzą bez śladu...

O. J. P.

## Jesień.

Idzie powolna uroczą jesień,  
Przez lany żółte mknie cicho wrzesień,  
Złocą się liście, szeleszczą zcicha  
A ziemia w słońcu w barwach oddycha.

W złocie, w purpurach kapią się drzewa,  
Świat cały strojną szatę przywdziewa,  
Jak sięgnąć okiem czerwień, fiolety  
Lecz to już jesień..... Jesień niestety.....

Złota, bogata i czaru pełna  
Lecz w jakiś smutek ubrana, rzewna,  
Smęt jakiś dziwny wieje z jej lica,  
Smutna jest smutna jesień—dziewica.

„Wicha” III ż.

## (I tak i tak) — tak, albo nie tak.

Pewien strzelec angielski poszedł do lasu na polowanie. Przyszedłszy na miejsce, zdjął dubeltówkę, naładował naboje i ruszył w głąb lasu, gdy wnet spostrzegł na ściętej u wierzchołka szrapnelem sośnie wiewiórkę, obróconą doń pyszczkiem. Myśliwy, trzymając strzelbę w rękę usiłował zająć zbieracze orzechów z tyłu co mu się jednak wcale nie udało, gdyż ta pilnie go śledziła i zawsze starała się być doń obróconą przodem. I tak obszedł nasz strzelec drzewo dookoła, nie osiągnąwszy celu. Zachodzi pytanie: Czy strzelec obszedł wiewiórkę, czy też nie?

(Sprawa bynajmniej nie łatwa... Na wypadek, gdyby ktoś chciał twierdzić, że obszedł radzę innej osobie zaoponować i zażądać miarodajnego i przekonującego dowodu.— Chodzi o wszczęcie dyskusji i o samodzielne dojście do sposobu dyskusowania).

(P. F.—Kullego).

## Ze świata wydawnictw.

Został niedawno wydany przez księgarnię św. Wojciecha szereg tomików „Biblioteczki Przyrodniczej” pod redakcją Z. Bohuszewiczówny, bardzo wartościowych mających o sobie wielce pochlebna opinię pism: „Przyjaciel Szkoły”, „Przyroda i Technika”, „Prace szkolne”, i innych.

„Biblioteczka Przyrodnicza” składa się z książek dla dziatwy szkolnej (tak zwany stopień I) i dla młodzieży dojrzalej oraz dorosłych (tak zwany stopień II).

M. FARADAY—„Dzieje Świacy” wyd. II z ilustr. stopień II zł. 2,20. Cykl świetnych wykładów z zakresu fizyki i chemji—prawdziwe arcydzieło literatury popularnej.

D. GAYÓWNA—„Sosna” z ilustr. st. II zł. 1,20. Monografia sosny zawierająca jej morfologię fizjologię i ekologię. Logiczne powiązanie dużej ilości danych z różnych dziedzin przyrody.

BREHM—„Z życia ptaków” z ilustr. stopień I zł. 1,20.

BREHM—„Z życia naszych szkodników i sprzymierzeńców” z ilustr. stopień I zł. 1,70. Cykl opowiadań z życia zwierząt znanego autora polskim czytelnikom z pierwszego ich wydania.

Z. BOHUSZEWICZÓWNA—„Darmozjady w świecie roślin” z ilustr. stopień II zł. —90. „Rośliny owadożerne” z ilustr. stopień II zł. 1,—. Dwie książeczki uwzględniają tematy, które nie były u nas dotąd ujmowane w postaci popularnych a dostępnych opisów.

H. GUDOWSKA—„Wzajemna zależność świata roślinnego i zwierzęcego” z ilustr. stopień II zł. 1,10. Poruszane są ciekawe zagadnienia.

G. GORBUNOW-POSADOW—„Z życia naszych zwierząt domowych” z ilustr. stopień I zł. 2,—. Myślą przewodnią książeczki jest rozbudzenie w dzieciach sprawiedliwego i ludzkiego stosunku do zwierząt z ilustr. st. I zł. 2,—.

A. KUJAWSKA—„Owady—Ogrodnicy” z ilustr. st. II zł. 1,40. Książka bardzo zajmująca zarówno przez temat jak i jego proste i przejrzyste ujęcie.

M. GROTOWSKI—Michał Faraday Życiorys z ilustr. stopień II zł. 2,60. Ścisłość naukowa, logiczność w ugrupowaniu treści, zwięzłość i wyborna forma językowa.

J. HARALASZEWSKI—„Woda” z ilustr. st. II zł. 1,50. Rozwój wiadomości o wodzie potraktowany jest historycznie treściwie a ściśle.

R. DANYSZ—FLESZAROWA—„Wśród nocy i lodów” z ilustr. st. II zł. 1,80. Opracowanie słynnej podróży Nansena.

B. DYAKOWSKI—„O wulkanach” z ilustr. stopień II zł. 1,50. Przejmujące są obrazy zniszczenia czynione przez zielejące wulkany.

„Z przyrody Bałtyku” z ilustr. st. II zł. 1,60. Barwna charakterystyka fauny i flory Bałtyku i jego wybrzeży.

M. SADZEWICZOWA—„Łądem wodą i powietrzem” z ilustr. st. II zł. 1,—. Historia rozwoju środków komunikacyjnych.

St. KALINOWSKI i Z. KALINOWSKA—„Magnetyzm ziemski” z ilustr. stopień II zł. 2,50. Prof. Kalinowski dyrektor obserwatorium magnetycznego w Swidrze.

Prof. Z. LUBICZ-NIEZABITOWSKI—„Postacie żywych zwierząt”, 3 zeszyty po 12 dużych plansz rotograwurowych oraz od 33 do 35 stron tekstu. Zeszyt I zł. 5,—, zeszyt II zł. 5,— i zeszyt III zł. 6. Rzecz wielce oryginalna, świetne, estetycznie wykonane zdjęcia fotograficzne.

## Odpowiedzi Redakcji.

„Wspomnienia z wycieczki” Z. W. Nie możemy skorzystać nie nadaje się do druku z powodu nieodpowiedniej treści.

„Przez śmierć do sławy” — nowela. Już tyle o tem napisano! Tragizm wcale nie wzrusza. Dziękujemy.

„Morze” — wiersz. Brak rytmu, nie nadaje się.

„Poległym bohaterom” — wiersz. Widać zdolności, ale forma nieszczerólna. Za ten dziękujemy a prosimy o inne.

„Żyjmy dla Polski” — Wiersz słaby, nienadający się do druku.

„Nie damy Pomorza” — Intencja dobra ale forma nie dopisuje więcej nad nią staranności. Dziękujemy.

„Internatowe kanapki” — Dużo błędów ortograficznych zapewne uczynionych przy przepisywaniu, przeto w ostatniej chwili nie oddajemy do druku.

„Wycieczka IV Dr. H. M.” — Brak przedstawiania i wypuklania momentów ciekawych i charakterystycznych, nie korzystamy.

„W młodzieńczym zespole” i „Czy to nie autosugestia” — przysłane dość późno, treść niezupełnie zrozumiała, tymczasem nie drukujemy. Prosimy autora jako zaawansowanego polonistę o zasilanie swemi pracami naszej gazetki.

*Redaktor.*



ODBITO  
w  
POLSKICH ZAKŁADACH  
GRAFICZNYCH  
„DZIENNIK BIAŁOSTOCKI”  
LEGJONOWA 1  
w  
BIAŁYMSTOKU.